All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI I Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.0 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Po kwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 3cgo GRUDNIA 1897 ROKU. Nr. 52

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter. Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 30 grudnia, Dawida. Piątek 31 grudnia, Sylwestra. Sobota 1 stycznia, Nowy Rok. Niedziela 2 stycznia, Makaryusz. Poniedziałek 3 stycznia, Genow. Wtorek 4 stycznia, Tytusa. Środa 5 stycznia, Telesfora.

Na Niedzielę po Nowym Roku.

Ewangielia św. Mateusza w rozdziale II.

W owym czasie, gdy He ód umarł, oto anioł Pański ukazał się we śnie Józefowi w Egipcie, mówiąc: Wstań, a weźmij dziecię, i matkę jego, u idź do ziemi Izraelskiej albowiem pomarli, którzy duszy dziecięcia szukali. Który wstawszy, wziął dziecię i matkę jego, i przyszedł do ziemi Izraelskiej. A usłyszawszy, iż Archelaus królował w żydowskiej ziemi miasto Heroda, ojca swego, bał się tam iść; a napomniony we śnie, ustąpił w strony Galilejskie. A przyszedłszy, mieszkał w mieście, które zowią Nazaret: aby się wypełniło, co rzeczono jest przez proroki: iż Nazarejczykiem będzie nazwany.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Powrót nieboszczyka.

Dokończenie.

Niedługo zdarzyła się druga sposobność odznaczenia się, a tem samem pokrzepienia ducha i nabrania większej ufności w sobie samym. W końcu marca zrobili Prusacy wycieczkę z fortecy. Marszałek Lefebre obecny przy wojsku polskiem, w chwili samego ataku stanął osobiście na czele batalionu 2 pułku piechoty, poszedł z nim na bateryą nieprzyjacielską i widział, jak polscy żołnierze ją zdobyli i uważał jednego sierżanta polskiego, który stanąwszy u dział nieprzyjacielskich, powalił kanoniera w chwili, gdy lunt zakładał. Po wzięciu bateryi po odwrocie nieprzyjaciół zawołał adjutanta i rzekł do niego: Przyprowadzić mi tego śmiałka, który pierwszy wdarł się do góry. Gdy nasz Łukasz przed komendantem w postawie wojskowej stanął, zbliżył się marszałek do niego, lekko uderzył po ramieniu i rzekł: Dzielny chłopcze, nie zapomnę o tobie. Komendant dotrzymał słowa. Po złożeniu Napoleonowi raportu o odznaczeniu się Polaków w kilku potyczkach pod Gdańskiem, przysłał cesarz krzyże legii honorowej, nietylko dla dowódzców i oficerów, ale i dla żołnierzy; otrzymali takowe jeden żołnierz prosty, jeden kapral i trzech sierżantów, a jednym z tych ostatnich był Łukasz Stempel.

Od tej chwili przemogło w nim uczucie godności człowieka, do której niezaprzeczonego nabył prawa, nad upokarzającem poniżeniem, do którego dawniej niezasłużenie doszedł. Jeżeli dotąd był przejęty nienawiścią ku ludziom dla tego, że go na to poniżenie skazali, zaczął odtąd poważać i kochać tych, którzy go aż do zacności wynieśli. Nie szukał już śmierci, aby z życiem dawną zagrzebać sromotę; lecz narażał się na śmierć w boju, bo widział w tem sposób wzniesienia się jeszcze wyżej, lub odkupie-

nia pamięcią chwały dawnej sromoty. To go tylko bolało, że szacunek towarzyszów broni i zaszczyty pod zmyślonem otrzymywał nazwiskiem i byłby może zdjął z siebie tę klątwę, gdyby nie zdarzenie, które mu odwagę do tego odebrało.

W noc pochmurną i zimną stał on z kilkoma żołnierzami na straży w pewnem oddaleniu od obozu polskiego. Ogień na ziemi rozłożony oświecał niewielki okrąg stojących w nim żołnierzy koło ogniska; jeden tylko szyldwach o kilkanaście kroków na przedzie przechodzący się milczący, a szczęk broni i stąpanie jego przerywało cichość zupełną tej chwili. Łukasz stał oparty o drzewo i poglądał to na ogień, to na śpiących, to na ciemną przed sobą przestrzeń; marzył o pociechach przyszłości patrząc na ogień wesoło połyskujący, a ze smutnym wyrazem wspomniał na ubiegłe lata, gdy oko w ciemność nocy zapuścił.

Wtem zawołał na straży będący: kto idzie; zerwali się zbudzeni żołnierze, Łukasz wzniósł karabin o ziemię kolbą oparty i zawołał: do broni! Usłyszano drugie zapytanie, kto idzie? i następnie wystrzał. Postać jakaś mignęła się zdala, dwóch żołnierzy puściło się za uciekającym; pozostali broń odwiedli i czekali gotowi do boju. Nie długo usłyszeli krzyk przerażenia i trwogi: stać! zawołał sierżant do żołnierzy, którzy naprzód biedz chcieli — znać go już mają, kiedy gwałtu krzyczy i musi być bezbronny, bo nie strzelają. Jakoż wkrótce przyprowadzili i stawili przed Łukaszem drzącego i na pół umarłego żyda, który się zachwiał na nogach, wyśliznął się z rąk trzymających go, padł naprzód twarzą na ziemię, potem podniósł zwolna głowę i klęcząc wzniósł z wolna osłupiałe oczy na sierżanta i składając błagalnie ręce zawołał na niego po prawdziwem nazwisku i całując je u nóg jego się włoczył.

Grom, któryby był w tej chwili przed Łukaszem uderzył, nie byłby go tak przeraził, jak rozpaczające wyrzeczenie jego nazwiska przez żyda.... bo spojrzawszy na niego przypomniał sobie od razu, że to rozbójnik, który z nim razem siedział w prochowni. Zadrżał, bo cała przyszłość jego zdawała mu się w tej chwili zagrożona wyjawieniem nieszczęśliwej przeszłości; żyd był dla niego groźnym upiorem, którego co prędzej z oczu oddalić trzeba było. Łatwo było dokonać tego idąc za radą żołnierzy, którzy widząc w nim szpiega, postronek szykowali i bez sądu na gałąź wciągnąć go doradzali. Żyd się czołgał po ziemi i wrzeszczał okropnie powtarzając nazwisko Łukasza. ,,Cicho — krzyknął tenże — kogo on woła? słyszysz żydzie, ani słowa więcej, boś zginął'' — rzekł, zamyślił się chwilę — — jedno jego skinienie, a upór ten znikał na zawsze z jego oczu — ale sumienie nie dozwalało poświęcić go, aby siebie ochronić. Należało go odstawić do komendy, a tam przed sądem wyjawi go! Wtem padło kilka strzałów na przednich strażach w oddaleniu; co tam z żydem, zawołał sierżant — baczność, stać w miejscu! — i gdy się gotowali na stawienie oporu nacierać mogącym Prusakom, porwał się żyd z ziemi i wkrótce znikł z ciemnej okolicy...... bo ta Opatrzność, która Łukasza chroniła od śmierci i tu jeszcze od hańby ochronić go chciała.

Postępując za naszym bohaterem po chwili stawienia się w Łęczycy przed komendą wojskową i przybrania zmyślonego nazwiska do tej, w której niespodzianie okazanie się dawnego współwięźnia odwiodło go od zamiaru wrócenia do rodzinnego nazwiska, puściliśmy zupełnie w niepamięć ową poczciwą Anusię, która się tyle dla niego poświęcała i dopomagała mu wyjść na świat czynności i chwały, po którym z takiem powodzeniem postępował.

Otóż owa dobra Anusia tyle właśnie

cofała się w szczęściu i powodzeniu, ile jej oblubieniec w tym zawodzie naprzód postępował. Ojciec jej podżegany ciągle przez nienawidzącą ją siostrę i uwiadomiony o jej stosunkach z zabójcą narzeczonego tejże, nie chciał jej wcale widzieć i umarł nie dawszy błogosławieństwa niesłusznie potępionej córce, zostawując cały majątek Wilhelminie, która innego starszego czeladnika fabryki ojcowskiej zaślubiła i z nim razem dalej ją prowadziła.

Anusia zostawała czas niejaki w domu kasztelanowej, dawnej opiekunki Łukasza, lecz gdy nagłe pozbawienie dochodów ws elkich z dóbr, obok nadzwyczajnych wydatków przez okoliczności ówczesne spowodowanych, zmusiły najzamożniejszych nawet do zmienienia sposobu życia i do przeniesienia się na wieś, nie chciała ona być ciężarem dla swojej opiekunki i postanowiła objąć obowiązki służącej, aby na siebie zarabiać. Za poleceniem tedy dotychczasowej opiekunki swojej dostała się do przyjaciółki jej w okolicach Wilna zamieszkałej, która jej powierzyła dozór i pierwsze wychowanie kilkoletniej córeczki.

Prócz przytoczonego powodu, to jeszcze skłaniało Anusię do opuszczenia domu kasztelanowej i kraju, iż coraz bardziej czuła się być sierotą w Warszawie, gdzie żadnych serc przychylnych, żadnych nawet pocieszających wspomnień nie miała. Wykluczona z rodzinnego koła, mająca tam nieprzyjaciół, gdzieby opiekunów znaleść była powinna, spotwarzona przez najbliższych krewnych z powodu stosunków z winowajcą, nie otrzymująca żadnej wiadomości o tym, dla którego się poświęciła, ze smutnem wspomnieniem na przeszłość, w której szczęśliwe chwile miłości zatrute były wrażeniem występku i hańby: przy tych wszystkich tak zgryźliwych uczuciach czuła się ona prawdziwie nieszczęśliwą i pragnęła porzucić miejsce świadkiem będące dawnego i obecnego jej nieszczęścia.

Pobyt w wielkiem mieście, wśród zgiełku i hałasu, między ludźmi nieznajomymi lub obojętnymi, gdzie nikt na nas nie zważa, nikt nie zapyta, co nas boli, ani się nie ulituje nad nami, pobyt taki, mówię, jest gorszy od samotności. Kobieta, która nie ma przed sobą czynnego powołania ani ciężkiej pracy, coby myśli zgryźliwe rozerwać mogły, czuje się być opuszczoną i samotną wśród ludzi i ruchu zewnętrznego życia, bo gdy na nią nikt nie zważa, traci nadzieję, aby kiedy znalazła przyjaciół i opiekunów; a kiedy się schroni na ustronie daleko od ludzi i zgiełku, jest wprawdzie samą, lecz nie ma się za opuszczoną od wszystkich, bo jej się zdaje, że za tymczasowym krokiem jej żywota, tam gdzieś w świecie bożym są jakieś dobre istoty, któreby się nią zajęły i przyniosły jej pociechę, gdyby jej zgryzoty znały.

Dla Anusi była Warszawa za wielkim światem, a przestrzeń między domami i ulicami zamknięta, za małem miejscem. Jej potrzeba było mniej ludzi, a więcej przestrzeni. Kto za wiele i za blisko widzi, ten nic nie spostrzega, nie ma gdzie sięgnąć okiem, aby z daleka przewidzieć nadzieję i pociechę. Na wsi inaczej; tam przestrzeń długa dla oka i cisza zupełna dla ucha. Tam cierpiący na duszy może smucić się w cichości i szukać widoków pociechy w zamglonym przestworze; cichość pozwala mu słyszeć głos duszy, daleka przestrzeń pozwala mu rozpatrywać się w urojonych obrazach, które sam sobie tworzy, lubo ich nie ma przed sobą.

Niechaj kto nie myśli, że takie wrażenia i uczucia są tylko udziałem zbyt żywej i egzaltowanej wyobraźni osoby wyższego wykształcenia i wypieszczonego wychowania. Kobieta z prostem uczuciem i ze zwyczajnem pojęciem może je doznawać i im się

powierzyć w zgryzocie; z tą różnicą, że pierwsza ulega zwykle pod ciężarem cierpień moralnych, bo dusza silniejsza od ciała, a ta ostatnia może się ciągle napawać smutkiem, a jednak potrafi znieść cierpienia moralne, bo jej ciało silniejsze od duszy, tak iż uczucia nie mogą pokonać sił żywota.

W pierwszym roku osierocenia swego płakała Anusia często i oddawała się żalowi i tęsknocie; bo jeszcze miała nadzieję, że przyjaciel jej powróci. W drugim przestała tęsknić; bo widziała i słyszała, jak ocaleni z wojny żołnierze powracali do swoich lub zgłaszali się do nich; a on nie wrócił, ani się zgłosił do niej. Odtąd rzadko kiedy płakała, ale się nigdy nie weseliła, nie uskarżała się przed nikim, ale od nikogo nie żądała pociechy, nie zajmowała się wcale sprawami krajowemi, odkąd się przekonała, że najskwapliwsze starania o wiadomości od wojska nigdy jej tęsknoty nie zaspokoiły, Czytała w pierwszym roku wiadomość w gazetach o krzyżach danych pod Gdańskiem trzem sierżantom, ale nawet nie pomyślała o tem, aby jej oblubieniec był jednym z tych szczęśliwych żołnierzy. Jak sobie raz powiedziała, że ponieważ dwa lata upłynęły bez żadnej od niego wiadomości, więc musiał znaleść śmierć, której szukał, tak już obojętną była na wszystkie wyprawy wojenne wojska polskiego, na chwałę, którą się w boju okrywało i na uroczystości narodowe z tego powodu obchodzone. Ona miała tylko dwa dni uroczyste w roku, które obchodziła wysłuchaniem wśród modłów i łez mszy żałobnej przez nią zamówionej: jeden dzień imienin ukochanego, drugi w rocznicę ostatniego widzenia się z nim po oswobodzeniu z więzienia. A to ją tylko martwiło, że nie wiedziała i nigdy wiedzieć nie będzie, w którym dniu ma obchodzić rocznicę jego zgonu.

Nadszedł rok 1812 a z nim chwila złudzenia dla Litwy. Anusia musiała być obojętnym świadkiem tych samych uniesień i wzruszeń, jakie kilka lat wprzódy zaznała w Warszawie. Wtenczas dzieliła powszechną radość, teraz otucha i szczęście innych w niej tylko smutek wzbudzały: bo była pod tem wrażeniem, że ta radość i nadzieja krajowa stała się dla niej źródłem dozgonnego nieszczęścia; że ta wojna na wielu innych ściągnie takie nieszczęście, pod jakiem ona od lat kilku uległa.

Gdy po krótki h chwilach ułudy, po zadziwiającem a raczej zastraszającem powodzeniu pierwszych wypraw wojennych, nastąpiła okropna klęska, gdy owi zwycięzcy, którzy tak szybko i zuchwale naprzód postępując ponieśli z sobą i zagrzebali w śniegach nadzieję Polaków, wtenczas nastały w domach obywatelskich ciężki smutek w miejsce radości, litowanie się nad losem wojowników zamiast uniesień nad ich zwycięstwami, obawa w ogólnej żałości znalazła dla siebie pociechę, że miała to przekonanie, iż jej narzeczony uszedł tych klęsk i cierpień przez chlubny zgon w czasach chwały wojennej Polaków.

Ale i w tem miała doznać zawodu, tym razem wszakże inaczej jak dawniej, bo na lepsze i z niespodzianą pociechą.

W końcu listopada ciągnęły po wszystkich traktach pojedyńcze, nie już oddziały wojska, ale mniej więcej liczne kupy ludzi obdartych, zgłodniałych i przemarzniętych, którzy nie mieli już nawet siły ani odwagi domagania się i grabienia tego, co im do utrzymania życia potrzebnem było. Ani chaty, ani dwory nie mogły nastarczyć ywności i odzieży dla pojedyńczych żołnierzy, którzy o jedno i drugie żebrali. Cudzoziemcy nędzniejszymi i bardziej pognębionymi byli od Polaków, a im któremu w ojczyźnie bardziej niebo sprzyjało, tem się tutaj też niebo nieprzyjaźniejszem dla niego okazywało.

Dnia pewnego wpadł służący do poko.

ju, w którym pani domu wraz z dziećmi i kobietami siedziała, oznajmiając, że we wsi stanęła rota polskiej piechoty, znużona i przeziębła, ale trzymająca się razem i w wojennym szyku, że ma się rozłożyć na kwaterach i resztę dnia spocząć. ,,A żeby państwo wiedzieli'', dodał opowiadający, ,,jaki to tęgi oficer nimi komenderuje, jakie ma wąsy szronem pokryte, jakie krzyże aż dwa na piersiach! Prosiłem go, żeby przyszedł do dworu, ale on nie chciał, bo mówi: ja nigdy mojej kompanii nie odstępuję: możeby państwo kogo lepszego jak ja do niego wysłali, bo szkoda doprawdy, żeby pan kapitan biedował się w karczmie jak prosty żołnierz''.

Na to opowiadanie pani domu i wszystkie kobiety powstały, bo najprzód były wszystkie ciekawe widzieć znowu polskich żołnierzy; a pani wydała rozkazy, aby co można dostarczyć posiłku żołnierzom i oficera do dworu zaprosić. To ostatnie polecenie odebrała Anusia i niebawem udała się na wieś w towarzystwie służącego, który zwiastował przybycie żołnierzy.

W dużej izbie karczemnej ogrzanej wielkim ogniem na kominie, leżało po ławach i na podłodze bez słomy kilkunastu żołnierzy najsłabszych z całego oddziału zajmując się opatrzeniem ran to na pobojowisku, to wskutek odmrożenia poniesionych. Między nimi chodził ich dowódzca, to pocieszając jednych, to doradzając drugim, co czynić potrzeba, to sam opatrując słabszych. Gdy Anusia weszła do tej izby i na ten obraz nędzy i cierpień spojrzała, zatrzymała się mimowolnie na progu przerażona i litością zdjęta, wahając się, czy przed spełnieniem odebranego zlecenia nie wrócić do dworu po bieliznę i środki opatrunku dla rannych i mimowolnie wydała okrzyk wzruszenie jej zdradzający.

Na ten odgłos odwrócił się nagle kapitan, spojrzał na wchodzącą, stanął jak wryty, oczy w nią wlepił i po chwili milczenia wrzasnął jakby w gorączkowem uniesieniu: Anusia! a ona stała w miejscu, wpatrywała się w niego, nie chciała dowierzać oczom ani temu, że wymówił jej imię..... i poglądała chwilę milcząc, czy upiór czy żywy stoi przed nią; nakoniec wydała okrzyk przeraźliwy, taki, jaki tylko przepełnienie miary rozpaczy lub radości z piersi kobiecej wydać może, padła bez zmysłów w ręce stojącego i po chwili ocuciła się w objęciach tego, którego śmierć od lat sześciu opłakiwała.

* * *

Dwadzieścia lat później żył w tej samej okolicy szlachcic na zagrodzie, z wierną żoną swoją. Wszyscy go poważali, wszyscy uchylali czapki przed nim, gdy w niedzielę szedł do kościoła w czamarze, na której błyszczały dwa krzyże wojskowe, ale nikt jego prawdziwego nazwiska nie wiedział.

SAWA.

Wiemy z Pisma świętego a i księża nauczają po cerkwiach i kościołach, że Pan Bóg w swej mądrości nieprzebranej zwykł często ciężkie nieszczęścia zsyłać na swych największych ulubieńców, aby ich wypróbować w cnocie i umocnić na dobrej drodze. Jak żelazo hartuje się w ogniu, takci oni przez niedolę mają się hartować w cnocie i bojaźni Bożej.

Musiał też Pan Bóg wielce miłować naszę ojczyznę Polskę, bo i na nią nie bez przyczyny zesłał próby. Chytry Moskal kopał dołki pod nią i zastawiał sidła na jej mienie, a ona długo się nie spostrzegła i nie opamiętała, a kiedyć wreszcie chwyciła za oręż, to już za ciężko było na jej siły. Moskal jak

wilk w baraniej skórze niby po przyjaźni wszedł do kraju i usadowił się po grodach i miastach, a potem chciałci już być panem jak w własnym domu.

Powoli zaczęły się naszym otwierać oczy, a między tymi, co pierwsi furknęli ostrem żelazem nad karkiem Moskali, był też nasz Rusin Sawa. Ej, człek to był wielki i wspaniały, że aż serce się raduje wspomnieć o nim!.... Urodził się z prostego chłopa na Ukrainie w czehryńskiem starostwie, za młodu służył za kozaka po dworach i panom na uciechę grywał na bandurce i śpiewał różne śpiewki ukraińskie, a potemci odrazu zabłysnął jak gwiazda w narodzie i największych magnatów prześcignął w znaczeniu.

Właśnie kiedy rozpoczął się na ostro taniec z Moskalami, był Sawa starszym nad dworskimi kozakami u pewnego wielkiego pana polskiego, co się zwał Działyński. Już dawno przestał grywać na bandurce, a natomiast wywijał szablą i furkał dzidą jak wrzecionem. Okrutnie go jednak serce bolało, kiedy patrzał, co się dzieje w ojczyźnie.

— Ej, żeby jeno sposobność — mówił do siebie i czekał.

Sawa był Rusinem, kozakiem z Ukrainy, aleć wiedział, że Polak i Rusin to wszystko jedno, obaj jak dwaj bracia bliźniąki od wieków trzymają się razem, boć jednę i tę samę mają ojczyznę matkę i jednaką duszę i jednakie serce dał Bóg obydwom....

Toż gorąco wyglądał Sawa, kiedyby mógł zajrzeć w ślipie Moskalom, co zdradą ohydną chcieli się zagospodarować w polskiej ziemi.

Aż też niebawem trafiła się okazya. Dowiaduje się Sawa, że tuż w pobliskości uciekają Moskale, co przegrali bitwę z Polakami. Więc też nie traci czasu, jeno co tchu zwołuje swoich kozaków i jak nie przemówi do nich do serca, tak wszystkim krew zakipiała w żyłach, wznoszą szable w górę i przysięgają, że za matkę Polskę, za swoją dawną katolicką wiarę, pójdą w ogień z nim razem.

Nie wiele ich było liczbą, bo ledwie półtrzecia sta wszystkiego, aleć każdy z nich starczył sam jeden za dziesięciu Moskali, tacy byli chłopi dziarscy i tędzy. Sawa prowadzi siłę w zasadzkę; zaczaili się cicho z pikami, a tu nie spodziewając się niczego suną Moskale. Ej, taniecże się rozpoczął taniec, jak narazie wypadł pan Sawa. Furczą spisy w powietrzu, łyskają szable do słońca, a Moskale walą się na ziemię jak trawa. Nakłuli się tego kozacy, co niemiara, zabrali wszystkie armaty i samego moskiewskiego jenerała księcia Sołtykowa chwycili za kołnierz.

Zaraz też po tej jednej potyczce gruchnęło po całej Polsce, co to za chwat ten pan Sawa i jużci ze wszystkich stron garną się junaki, a proszą, by ich jeno prowadził na wroga. Kupa wojska zebrała się pod panem Sawą, a on jak zaczął, tak i dalej kropi a kropi Moskali.

W miasteczku Zakroczymie zjechali się panowie, najpierwsi magnaci i radzą, kogo obrać za swego marszałka, to jest za najstarszego do wojny z Moskalami. I wszyscy wołają jednomyślnie:

— Pan Sawa niech będzie, pana Sawę prosimy!

A Sawa się składa i prosi:

— Bójcie się Boga, panowie — mówi — jam prosty chłop kozak, jakże ja wam panowie mogę być starszym!

Nic nie pomogło, musiał być marszałkiem. I pewnie nie mieli czego żałować, że poddali się pod jego rozkazy. Zalał on gorącego sadła za kark Moskalom i takim się stał dla nich postrachem, że im już dusza była na ramieniu, jak jeno posłyszeli o nim!

A miał takie osobliwe szczęście ten pan

Sawa, że rzucał się zawsze, gdzie kule najgęstszym padały gradem, a żadna go nigdy nie trafiła! Jak rzeszoto nieraz podziurawiły kule burkę i kozacką czapkę na głowie, ale ciała nie tknęła żadna.

Myśleli Moskale, a nawet i wielu ze swoich, że pan Sawa jest czarownikiem i że umie zamawiać kule, a stąd żadna go się nie imie, choćby nie wiedzieć co.... Dowiedział się pan Sawa o tej pogłosce i bardzo się tem zafrasował, boć z złym duchem nie wchodził w konszachty, jeno widocznie już taka czuwała nad nim łaska Boża. Uwziął się zatem przekonać ludzi, że i jego jak każdego innego może trafić kula i pchał się umyślnie, gdzie największe było niebezpieczeństwo. Ale czy to już taka była wielka łaska Boża, czy też Moskalom trzęsły się ręce ze strachu, jak go obaczyli, dość, że zawsze kule świstały koło niego jak grad najgęstszy, a o niego ani jedna nie zawadziła.

Aż też pewnego razu, kiedy już zanadto próbował łaski nieba, trafiła go armatnia kula w udo, że aż spadł z konia.

— Widzicie — zawołał zaraz na swoich — żem nie żaden czarownik!

I choć mu rana wielką sprawiała boleść ucieszył się nią jakby jakiem szczęściem wielkiem. Aby jednak nasi nie stracili ducha w bitwie, nie chciał w żaden sposób ustąpić z pola. Nie mogąc usiedzieć na koniu, kazał się włożyć w kołyskę i przywiązać między dwa konie, na których jego najwierniejsi siedzieli kozacy i takci prowadził naszych aż do końca bitwy. Za mocno się natężał i szamotał, więc do reszty opuściły go siły.

Przestraszyli się okrutnie Polacy i odwieźli chorego Sawę do najpierwszego domu w pobliżu, aby tam opatrzeć jego rany i mieć o nim staranie. W domku tym mieszkał niejaki pan Kleczkowski, podleśny mszczonowskiej puszczy, a ten od rozumu odchodził, jak obaczył ranionego Sawę i sam nie wiedział, jakby tak wielkiego człeka przyjąć w swym domu i jakieby mu dać wygody. Wyprawił zaraz wskok po cyrulika w Mszczonowie, a tymczasem pan Sawa przyszedł do siebie i jak przyjechał cyrulik, to pokazało się, że rana nie była tak niebezpieczna i że za kilka tygodni będzie ją można wyleczyć całkowicie.

Aleć na nieszczęście inne w ciągu tego czasu zaszły rzeczy. Moskale dowiedzieli się, że pan Sawa ranny i nabrali ducha, a nasi pofrasowani nie nacierali już tak dzielnie jak wprzódy, toż, jak w palce trzasł, zmieniło się szczęście. Zaczęli się cofać Polacy, a Moskale zajęli Mszczonów i stanęli zaledwie o pół mili od tego domku, gdzie leżał chory pan Sawa. Onci z każdym dniem coraz więcej przychodził do zdrowia, lecz zawsze jeszcze nie mógł się obejść bez cyrulika.

Moskale wyszpiegowali, że cyrulik codziennie wychodzi z miasteczka i idzie do domu podleśnego mszczonowskiej puszczy, więc jak zaczęli szperać, wąchać, wietrzyć, tak dowiedzili się wszystkiego! Szlą też zaraz hurmę dońskich kozaków, aby otoczyć domek i złapać Sawę, który im tylekrotnie wygarbował skórę.

Przypadają kozacy i w jednem okamgnieniu obskakują dom naokoło. Sawa zerwał się z łóżka, ale że nie mógł utrzymać się na nogach, więc siadł jeno na krzesło i z pistoletem w ręku czekał Moskali. Wchodzi moskiewski oficer do pokoju, a on woła:

— Kto do mnie przystąpi, temu w łeb strzelę!

Moskale co tchu za drzwi i żaden nie waży się ani nosa wściubić do izby; lecz jeden się namyślił i kazał dom podpalić na cztery rogi. Rad nierad musiał się kazać wynieść z pokoju Sawa, a jak tylko go obaczyli Moskale, więc zaraz starszy ich pod-

suwa się do niego i kiepkuje sobie niecnota:

— A co mospanie, teraz się poddajesz?

A pan Sawa wyciągnął pistolet i pal mu w łeb, że mu się rozleciała czaszka jak stary czerep.

— Zakłuj go! — krzyknął inny moskiewski oficer na swoich, a ze stu Moskali rzuciło się na niego i jęło go kłuć spisami i rąbać szablami!

Zastawiało biednego Sawę jego dwóch wiernych kozaków i jeden ze szlachty, co go nie odstępował w chorobie, ale to nic nie pomogło, bo Moskale zakłuli kozaków i temu szlachcicowi rozłupali głowę i teraz zaczęli się pastwić nad Sawą, kiedy nieborak nie mógł się bronić.

Byliby go okrutnicy zabili na miejscu, ale starszy oficer nie kazał, bo spodziewał się większej nagrody od jenerała, jak żywcem dostawi tego tak strasznego dla Moskali wroga.

Przywiedli tedy Sawę wraz z owym ranionym szlachcicem do Mszczonowa, gdzie stał moskiewski jenerał Potapów. Tenci się bardzo ucieszył, jak obaczył Sawę w swojej mocy, ale widząc, jak srogie cierpi boleści, zmiękł trochę w swojem twardem sercu i zabronił już więcej pastwić się nad nim....

Sawa czuł, że mu już duch ucieka z piersi, więc prosił tylko, by się mógł wyspowiadać. Zawołano księdza i Sawa przygotował się na śmierć po chrześciańsku, a potem rzekł do księdza i tego szlachcica, co go nie odstępował:

— Widzę, że już i godzinę nie pożyję, więc też bywajcie mi zdrowi, a powiedzcie przed ludźmi, że mi wcale nie markotno umierać... Umieram za ojczyznę, a to śmierć najsłodsza ze wszystkich na ziemi, najmilsza także Bogu na wysokościach i najprościej prowadzi do nieba!

Dałci im jeszcze polecenie do żony, krewnych i przyjaciół, a potem prosił wody. Chciał pić nieborak, ale nie mógł już przełknąć przez gardło. Wywrócił oczy, zacisnął zęby i ta jego wspaniała, jednako Bogu i ludziom miła dusza uleciała w niebiosa.

Wieść o jego śmierci gruchnęła po kraju i żal był i smutek gorzki po pańskich pałacach i mieszczańskich domkach i wieśniaczych chatach. Straciła Polska mężnego i wielkiego człowieka, kiedy go najbardziej potrzebowała, cześć i sława niech będą mu na wieki!

Dusze czyścowe przybywają na ratunek swym dobroczyńcom.

W starym Zakonie waleczny Judsza Machabejczyk w bitwach swoich wzywał zawsze pomocy z nieba i zasłużył na to, że mu Aniołowie widzialnie pomagali. Od czasów Ewangelii widziano nieraz podobne zjawiska; historya następująca jest tego dowodem.

Pewien prosty żołnierz, poczciwy, pobożny, wielkie miał politowanie nad duszami w czyścu cierpiącymi, uczynił sobie postanowienie, jakby ślubem się zobowiązał nie mijać nigdy cmentarza, żeby się nie pomodlić za dusze umarłych tam spoczywających i zawsze to spełniał. Jednego dnia, w czasach gwałtów i napaści, gdy przechodził ulicą sam jeden i bez broni, nieprzyjaciele jego, korzystając z tej okoliczności, rzucili się na niego chcąc go zabić. Biedny człowiek, nie mogąc się bronić, uciekał ile miał siły; a przybiegłszy do wysokiego muru, którym cmentarz był opasany, przeskoczył go i chciał biedz dalej, żeby się ratować od napastników. Gdy w tejże chwili przyszło mu na myśl jego przyrzeczenie nie mijać nigdy cmentarza bez modlitwy za umarłych. Ale co tu czynić? kiedy się zatrzyma, nieprzyjaciele nadbiegną i zabiją



Młody krzykajło.

go; gdy się nie pomodli, będzie niewiernym swemu świętemu postanowieniu. Jednakże krótko się namyślał; pełen wiary, zdawało mu się, że opieka Boska więcej mu pomoże, niżeli jego ucieczka; klęka zatem na grobie i odmawia pobożnie psalm: ,,Z głębokości wołałem.......'' Pan Bóg nie dopuścił, aby taka ufność szkodliwą mu była.

Nieprzyjaciele, którzy za nim gonili, przeskoczyli także mur cmentarza i szukając swej ofiary, postrzegają go klęczącego, zatopionego w modlitwie. Nie rozumiejąc, coby czynił w podobnym razie, sądzą, że ze strachu rozum stracił. Chcąc zatem korzystać z tak dobrej sposobności, zbliżają się do niego z cicha, aby go zamordować; lecz w chwili gdy go szablą uderzyć mieli, staje przy nim jakby oddział cudownych rycerzy, którzy otaczają go, bronią i grożą za bójcom. Na ten widok przestraszeni napastnicy pouciekali. Pobożny żołnierz słyszał jakiś szmer za sobą, ale się niczego nie domyślał Ukończywszy modlitwę powstał, obejrzał się na wszystkie strony, a nie widząc nikogo poszedł dalej, nie pojmując jakim sposobem napastnicy zgubili go z oczu.

Po niejakim czasie, przyjaciele obu stron starali się o zgodę. Nastąpiło pojednanie; a po przebaczeniu urazy i po uściśnieniu braterskiem, nowi przyjaciele prosili żołnierza, aby im wyjaśnił co to za rycerze nieznajomi tak dzielnie go obronili, kiedy on klęczał nieruchomy, modląc się przy grobie na cmentarzu? Ten nie wiedział co na to odowiedzieć; zapewnił tylko, że pomimo grożącego niebezpieczeństwa odmówił modlitwę za umarłych, jak to był sobie oddawna postanowił i nikt nie wątpił, że to dusze czyścowe, za dozwoleniem Bożem, przybyły mu na ratunek w nagrodę jego pobożności.

Wieść o tym cudzie szeroko się rozniosła w kraju i dalej i każdy, jak mówi historyk, którego przytaczamy, brał ztąd nową pobudkę do wspomagania świętych dusz cierpiących tak godnych politowania, a zarazem tak wdzięcznych za łaski, jakie im świadczymy.

STRASZNE WIDMO.

(Zdarzenie prawdziwe)

Kiedy byłem w r. 1894 na wystawie we Lwowie, opowiedział mi jeden znajomy prawdziwe zdarzenie, które dotąd zostało mi w pamięci. Podaję je do wiadomości Czytelników, bo myślę, że na to zasługuje. Jest to opowieść, jak jednego żołnierza Rusina dręczyło sumienie. Znajomy mój tak mi to opowiedział:

Byłem przy wojsku w Bośnii; staliśmy w polu, a było to w zimie. Jeden żołnierz powiada:

— Widzicie tę chatę niedaleko? Pójdę podpalę, to się ogrzejemy.

— Nie idź — mówimy mu — nie trzeba podpalać. Może tam ludzie są, to mogliby się spalić.

Eee! co mnie ta — powiada — obchodzą ludzie!

Poszedł i siarniczką podpalił.

Ale zaledwie do nas wrócił, a my jeszcze nie przestaliśmy na niego swarzyć, aż tu słychać z chałupy głos ludzki.

I rzeczywiście była tam chora kobieta i małe dziecko w kołysce.

Pobiegł ów żołnierz do palącej się chałupy, wpadł oknem do środka izby i wyrzucił przez okno dziecię, ale matki wynieść już nie mógł, bo ogień w jednej chwili ochłonął cały dom.

Uciekając, spojrzał jeszcze na łóżko, gdzie kobieta leżała. Spojrzała ona na nie-

go. Oczy jej załzawione takie były straszne, że odtąd już ich zapomnieć nie mógł. Na każdym kroku i o każdej godzinie, czy we dnie, czy w nocy ciągle to okropne spojrzenie widział. Modlił się, dawał na nabożeństwa: nie pomagało to nic, spojrzenie onej nieszczęśliwej nie chciało go opuścić ani na chwilę.

Wrócił nareszcie z wojska do domu, ale straszne widmo i tu za nim trafiło. Więc smutny jest bardzo, aż i ojca to uderzyło.

— Ej! Iwan, Iwan! — powiada ojczysko — nim poszedłeś do wojska, byłeś zawsze taki wesoły, a teraz widzę, że smutek jakiś niby kamień ciąży ci na sercu. Co to bie, moje dziecko?

— Cobym miał być smutny — powiada — nic mi przecież nie brakuje.

Ale ojciec nie wierzył. Poszedł do księdza, rozpowiadał tak, jak syn jego czegoś smutny i prosił, żeby jakim sposobem syna jego wybadał.

Ksiądz zgrabnie się do tego wziął i o wszystkiem się dowiedział. Trza było się teraz wyspowiadać. Wyspowiadał się, ale rozgrzeszenia nie otrzymał. Za doradą swego spowiednika poprosił ojca o połowę majątku. Gdy zezwoleństwo otrzymał, sprzedał, wziął pieniądze ze sobą i pojechał odszukać miejsca onego i dziecka. Trudno było odszukać, ale mu Bóg dopomógł.

Miejsce poznał po spalenisku, ale jak tu teraz dopytać się o dziecko? Chodził biedak jak błędny cały dzień po tej okolicy, aż gdy się ściemniło, wstąpił do jednego Turka, żeby się przenocowač. Turek go przyjął i tutaj u tego Turka spotkał na komornem biednego człowieka z synkiem. Rozgadali się ze sobą, a gdy w rozmowie komornik posłyszał o Galicyi, tak powiada:

— Oj! byli tu żołnierze z Galicyi i straszną mi krzywdę sprawili na całe życie. Spalili mi chałupinę. Gdym po kilkatygodniowej służbie wrócił od wojska, nie zastałem już ani żony, ani pomieszkania. I komoruję tak, bo nie mam sposobu do swojej chałupiny przyjść....

Zmiarkował już żołnierz, z kim ma do czynienia i żal go ogarnął wielki. Serce biło jak młotem. Gdy się pokładli spać i komornik twardo usnął, wstał ostrożnie, chusteczkę z pieniędzmi na ciele dziecku przywiązał a sam czemprędzej w nogi. Bał się chudak, żeby go nie chwycono, jako sprawcę nieszczęścia.

I od tej chwili straszne widmo zupełnie go opuściło. *Wojciech Gołojuch.*

KOLĘDA.

Nad Betleem miastem Gwiazda jasno płonie,
Marya tuli syna w stajence na łonie.
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

W koło pastuszkowie nad Dzieciątkiem w żłobie
Spiewają wesoło: Jezu chwała Tobie!
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

Trzej mędrcy królowie spieszą hen ze Wschodu,
Powitać Dziecinę królewskiego rodu
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

Wszystko hołd Mu składa — cały świat się cieszy —
Każdy do Betleem czem prędzej się spieszy.
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

I my też oddajemy cześć Panu nad Pany —
Co w żłobie spoczywa ubogo odziany.
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

Chyląc kornie czoło, prośmy tej Dzieciny,
By Bóg biednej Polsce zmazał dawne winy
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

By znów po nad Polską wzleciał „orzeł biały“
By wróciły czasy potęgi i chwały.
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

Niechże nam, dziecino, Twój dzień Narodzenia
Stanie się dla Polski symbolem zbawienia.
Luli synu — luli, na łonie matuli:
Hej kolęda, kolęda!

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

OLA.

Jeszcze przed trzema dniami biegała po pokojach, pobobna do ptaszyny wesołej. Wieczorem ni stąd, ni z owąd poczęła marudzić. Usnęła wcześnie, ale spała niespokojnie; budziła się w ciągu nocy kilkakrotnie z okrzykiem przestrachu. Kilka razy zakaszlała. Główkę miała gorącą.

Zaraz rano przybył wezwany lekarz. Zastał Olę senną, apatyczną. Na piersiach zobaczył zaczerwienioną skórę i liczne wypukłe punkciki. Błona śluzowa krtani i przełyku była ciemno czerwona, prawie czarna. Termometr włożony w paszkę wskazywał 39.02.

— Szkarlatyna! orzekł doktor i wydał stosowną instrukcyę.

— Jak pan konsyliarz sądzi, czy stan groźny? -- pytali zaniepokojeni rodzice.

— Hm! W tej chwili nie. Któż jednak przewidzieć może, co nastąpi? Jestto najkapryśniejsza z chorób. Zajrzę wieczorem.

Ola przez cały dzień drzemała, szybko oddychając i chwilami tylko otwierając oczy, błędne jakieś, jakby ze szkła. Nic nie mówiła, niczego nie żądała, lekarstwem i mlekiem zakrapiać ją było trzeba przemocą.

Wieczorem lekarz, obejrzawszy małą pacyentkę, pokiwał głową.

— Może państwo wezwiecie jeszcze kogo?

— Więc tak źle?

— Niedobrze.

W pół godziny odbyło się konsylium. Dziecina leżała w ciągłej pogrążona śpiączce. Nawet kiedy ją obracano, nie otwierała oczu. Ksztusiła się tylko od czasu do czasu, połykając ślinę. Oczodoły pogłębione, u podstawy okalały ciemne pręgi. Skóra przybrała barwę żółtą, podobną do wosku, kończyny sine. Termometr 40.5°.

— Infekcya jest tak silną....

— Wielki Boże! nie ma ratunku?

— Rozpoczyna się porażenie...

Ach, kto nie widział konającego dziecka, niech nie mówi, że zna rzeczy okropne i do głębi wstrząsające, ale kto patrzył na agonię własnej dzieciny, dla tego i męki piekła nie wydadzą się okropnemi.

Ola umarła....

Na chwilę przed śmiercią otworzyła szeroko oczy. Było jej tak dobrze! Doznawała przyjemnego ciepła, jak wówczas, gdy słońce latem przypiekało jej białą, delikatną skórkę na polance leśnej, przyścielonej mięciuchną trawą, obsypanej mnóstwem kwiatów — tylko że słońce nie świeci, ptaszki nie śpiewają.... Przed oczyma tak szaro, — ledwie pozna e rodziców w tych dwóch postaciach pochylonych nad jej łóżeczkiem. Ale to oni, z pewnością oni, o, dobrze, że są przy niej... Dla czego jednak nie przemówią? Ola słyszy tylko szum przeciągły, głuchy, jakby szum lasu podczas burzy....

Mgła coraz gęstnieje... wreszcie wszystko zlewa się w jedną szarą plamę... Szum ustał, cisza niezamącona, spokój.... O, jak jej dobrze.

A teraz zmrok się rozjaśnia, coraz jaśniej Oli, wreszcie tak jasno, jakby tysiąc słońc pałało.... Gdzież ona? Łóżeczka nie ma, okien nie ma, stolika nie ma, ani tych obrzydliwych na nim flaszeczek z lekarstwami....

Zjawia się jakaś dziwna postać. Ma na sobie białą powiewną szatę i śnieżne skrzy-

dła u ramion. Ola zaglądа jej w oczy. Kto to? Niby mama, niby tato.... Cóż znowu? Z nich obojga zrobiło się jedno....

Biała postać bierze dziecinę ostrożnie na ręce i przytula miłosiernie do łona.

— Ładna Ola, grzeczna Ola, pojedzie Ola do hajtu, daleko, daleko.

— A mama, a tato?

Anioł z uśmiechem pogodnym pochylił twarz swą nad nią. Ależ tak! To tato i mama patrzą na nią. Dziecko wyciąga radośnie rączki, wołając:

— Hajtu! hajtu!

Anioł frunął... Szczególne! Tego Ola jeszcze nie wiedziała, aby można było jechać do góry. A im wyżej wznosi się na rękach anioła, tem jaśniej jej umysł poczyna wszystko rozumieć. W okamgnieniu z małej dzieciny urosło wielkie dziecko, ba, dojrzała dziewczyna. Uśmiecha się rozkosznie na myśl o tej dziwnej zmianie.

Anioł tymczasem prosi ją, by spojrzała na dół.

— Co tam widzisz? -- pyta.

Ola odwraca się z przerażeniem.

— Och, jakże to okropne! Całe strumienie łez gorących kipią i kłębią się.

— Nie bój się -- szepcze anioł, głaszcząc ją po czole. — Wyrwałem cię z nich, już ciebie nie dosięgną.

A potem prosi znowu:

— Popatrz jeszcze.... Co tam widzisz w dole?

Ola odwraca się ze wstrętem.

-- Oh, jakie to szkaradne. Co za olbrzymie trzęsawiska pełne błota, robactwa i zgnilizny!

-- Nie bój się, — uspakaja ją anioł, składając na białem czołku pocałunek. — Wyrwałem cię z nich, już ciebie nie dosięgną.

Pędzą, a pędzą, tysiące gwiazd mijając po drodze. A obok którejkolwiek przelecą — zewsząd słychać zgrzyty i jęki. Nakoniec nie ma już gwiazd, cały świat zostawili pod sobą. Podróż skończona.

— Gdzież my? — pyta Ola.

— Popatrz!

Boże! cóż to za cudne gaje. Jakie osobliwe drzewa i kwiaty — nigdy ich nie widziała, nigdy nie miała pojęcia, by mogło coś równie pięknego istnieć. A dopieroż to przedziwne, wonne powietrze, te czarujące głosy ptaków, czy harf złotych.... Oli serduszko dygoce z radości i upojenia.

A tu z naprzeciwka zbliża się Matka Przenajświętsza z Jezusem pospołu. Boskość bije od nich oślepiającym blaskiem, a jednak — dziwo — i oni tak wyglądają, jakby to był tato i mama....

— Oto Matko Boża, oto synu Boży przynoszę wam znowu duszyczkę białą, ani pyłkiem ziemskości nie skażoną, —powiada anioł.

— Czekamy cię, czekamy, ukochanie nasze — powiada Marya, a Jezus dodaje:

— Ty najmilsza mi, ty najsłodsza, ty dziecię serca mego, w którem sobie upodobałem.

Ola słucha, patrzy i sama wierzyć nie chce. Stoi przed Bogiem, a żadnej nie doznaje trwogi. Rzuca się w objęcia Jego i Matki Przenajświętszej z tem uczuciem, że to tato i mama.

Tymczasem zewsząd gromadzą się coraz nowe postacie. Naprzód nadbiegła św. Olga, jako patronka, za nią patronowie rodziców, potem inni święci — któż ich policzy? Wszyscy tacy piękni, tacy młodzi, tacy uradowani przybyciem Oli, a co najważniejsza, wszyscy znowu podobni jak krople wody, do taty i do mamy.

Wreszcie Matka Boska powiada:

— Skorośmy się już nacieszyli sobą, wypocznijże córuś droga.

I prowadzi ją na wezgłowie z puchu bieluchnego w złotej jakiejś, wspaniałej sali, a potem kiwa na aniołów i powiada:

— Pilnujcie mi tu, żeby kto drzwi nie otworzył. Nie macie co robić w niebie, je śliby Oli, broń Boże, zamąciły sen rozkosz ny te jęki i rozpacze, co aż tu dobiegają z ziemi, z nad jej trumienki.

I. W. O.

Ja pierwszy!

— ,,Ja pierwszy!'' — wołał Antoś, roz trącając młodsze rodzeństwo i przypadając do mamy

Jakże myślicie, gdzie Antoś był pierwszym? Może w szkole, w nauce? Gdzietam, Antoś musiał pierwszy pocałować mamę na ,,dzień dobry''.

Ładnie to, gdy się dziecko spieszy, by uścisnąć mamusię, ale czy to koniecznie musi przytem trącić braciszka, usunąć siostrzyczkę?

— ,,Ja pierwszy'' — wołał Antoś, gdy Andzia biegła naprzeciw wracającego z biura tatusia — ,,ja pierwszy''; — wołał znowu przy zabawie, gdy kto śmiał stanąć na czele w wojskowym pochodzie — ,,ja pierwszy''; — wołał nawet wtedy, gdy mama krajała dzieciom chleb na podwieczorek.

Wszędzie Antoś musiał być pierwszy, a siostrzyczka i braciszek nieraz z tego powodu serdecznie płakali.

Razu pewnego siedzieli wszyscy przy wigilijnej wieczerzy.

Antoś nawet przy opłatku wołał: ,,Ja pierwszy'' — a talerze swoje tak szybko podsuwał do półmiska, że czasem aż brzękły.

Gdy po wieczerzy mamusia otworzyła drzwi do pokoju, w którym stało oświetlone drzewko. Antoś naturalnie wbiegł pierwszy.

Wszyscy otoczyli drzewko, zaśpiewali wesołą kolędę i przypatrywali się z zachwytem strojnej choince.

— A teraz pozwalam wam zerwać sobie po cukierku, ale ostróżnie, byście nie popsuli drzewka — rzekła mama.

— ,,Ja pierwszy"! — krzyknął Antoś, trącił braciszka, przewrócił siostrzyczkę i przypadł do drzewka.

Ale drzewko nie spodziewało się takiego nagłego napadu, to też zachwiało się w beczułce, zatrzęsło gałązkami i runęło na ziemię.

Co tam było płaczu, lamentu! Swieczki pogasły, pierniczki się pokruszyły, a jabłuszka i orzeszki potoczyły się po podłodze.

Miał teraz Antoś za swoje: ,,Ja pierwszy!''

OD ADMINISTRACYI.

Wszystkich pp. Abonentów, którzy zalegają z prenumeratą, uprasza się o niezwłoczne nadesłanie tejże. Każdy dolar w obecnych ciężkich czasach jest nam bardzo potrzebny. Podwójnie więc będziemy Szan. Abonentom wdzięczni, gdy nam nadeślą to, co się nam sprawiedliwie należy. Zwracamy się szczególniej do tych, którzy za dwa a nawet za trzy lata abonamentu nie zapłacili i prosimy ich raz jeszcze o uregulowanie rachunku.